

XXI NASZA DRUŻYNA

Numer
Specjalny (1)

Pismo Środowiska XXI Warszawskich
Drużyn Harcerskich i Gromad Zuchowych

MARZEC 2008

Baczność!!!

**W dniu 29 marca 2008 roku jeden z naszych Super Seniorów
Druh kapitan Ryszard BOREŃSKI kończy 80 lat.**

**Z okazji tego pięknego Jubileuszu, Dostojnemu Jubilatowi
składamy najserdeczniejsze życzenia**

**długich lat życia,
powrotu do pełni zdrowia,
uśmiechu na co dzień**

oraz

**powodzenia w spełnianiu misji
Harcerza - Seniora Środowiska**

XXI Warszawskich Drużyn Harcerskich i Gromad Zuchowych.

Dwieście lat niech żyje nam!!!

Czuj, Czuj, Czuwaj!

Spocznij!!!

Harcerki, Harcerze i Zuchy XXI WDHIGZ



Źródło: <http://zwierzyniec.ovh.org/>

JUBILAT:



RYSZARD BOREŃSKI „Ryś”

Rocznik: 1928

Funkcja, stopień: kanonier

Formacja: Zgrupowanie „Gurt”, oddział „Żbik”

Dzielnica: Śródmieście Południowe



Nazywam się Ryszard Józef Boreński. W „Szarych Szeregach”, w Armii Krajowej i po Powstaniu w NSZ-cie, miałem pseudonim „Ryś”. Urodziłem się 29 marca 1928 roku w Warszawie.

W jakim zgrupowaniu pan walczył i jaką miał pan funkcję?

Byłem w 4. Zgrupowaniu Armii Krajowej „Gurt”, 2. harcerska bateria artylerii przeciwlotniczej „Żbik”.

Jaką pan sprawował funkcję, stopień?

Dla łatwości, artyleria to skomplikowana sprawa, kanonier w służbie obserwacyjno-alarmowej w 1. plutonie, to jest 569. pluton Armii Krajowej.

Proszę na początku opowiedzieć o czasach młodości, o szkole, jak był pan wychowywany, jak odbywała się edukacja jeszcze przed wojną?

Mój ojciec miał majątki, ale urodziłem się w Warszawie. Potem mieszkałem z rodzicami z mamą i z tatą. Tata zmarł w 1933 roku. Ponieważ był w „Strzelcu” i w Straży Pożarnej, w miejscowych różnych organizacjach, to był bardzo piękny pogrzeb, mam zdjęcia. Później zaczęły się smutne lata, dlatego że z siostrą byłem u rodziny, później mama po dwóch latach wyszła za mąż. Pieniądze jakie zostały po posiadłościach, bo część mama sprzedała, przekazała ojczymowi. On miał też mająteczek. Oprócz tego był klasyfikatorem gruntów w Bydgoszczy. Tam się przenieśliśmy, byliśmy tam do okresu wojny. W 1939 roku, ponieważ ojczym też był w różnych organizacjach i bał się, że może mieć kłopoty, jak wkroczą Niemcy, w związku z tym uciekaliśmy z Bydgoszczy w kierunku Warszawy. Pod Kutnem dopadły nas oddziały niemieckie. Wracaliśmy z powrotem, ale tylko po to, żeby się dowiedzieć, że mieszkanie jest już zarekwirowane. Nie było na co czekać, trzeba było z Bydgoszczy się przenosić. Przenieśliśmy się do majątku po moim ojcu. Tam był dzierżawca i tam byliśmy przez jakiś czas. Potem tam było zagrożenie, bo Niemcy wysiedlali, to był teren Reichu. Przyjechaliśmy do Warszawy.

W Warszawie było bardzo ciężko. Początkowo ojczym nie mógł znaleźć pracy. Tak że byłem w bursie. To [jest] bardzo ciekawa historia, mało znana być może. Była

Rada Opiekuńcza Miejska, która później przejęła nazwę RGO Rada [Główna] Opiekuńcza. Tam były ogniska, byłem w trzecim ognisku Rady Opiekuńczej Miejskiej potem RGO, najpierw na Okopowej, potem na Widok, potem na Senatorskiej 32. Tu już przechodzę do okresu okupacji i konspiracji. To było bardzo interesujące. To była bursa dla pól sierot i sierot. Tam był przedział wiekowy – wiekowo to było podzielone. Na salach byli starsi chłopcy, byłem w grupie najmłodszych, bo to było w 1940 roku, więc miałem dwanaście lat. Pomału zorientowałem się, że wszyscy starsi chłopcy są już w konspiracji. Oni byli w ZWZ-ecie, potem w Armii Krajowej. W 1942 roku powstała tam organizacja harcerska, to był „Zawisza Czarny”, czyli tak zwani „Zawiszacy”. To był ul „Wisła”. To było bardzo interesujące, dlatego że w bursie mieliśmy zbiórki, szkolenia bardzo intensywne w oparciu o istniejącą literaturę przedwojenną, konspiracyjną. Oprócz tego mieliśmy kolonie, to były praktycznie obozy harcerskie. Na koloniach starsi chłopcy to po cichu mieli poważniejsze manewry, natomiast myśmy mieli coś w rodzaju podchodów. To nam się ogromnie później przydawało, bo już w czasie Powstania takie umiejętności były bardzo potrzebne. Zdawaliśmy na stopnie. W 1943 roku miałem pierwszy stopień, w 1944 zdawałem na zwiadowcę. [Na] stopnie harcerskie miałem bardzo interesujący egzamin: oprócz nadawania morsem, semaforem – oczywiście trzeba było w odpowiednim czasie się zmieścić – to mieliśmy minowanie mostów. Trzeba było pod mostkiem nad rzeczką przejść po legarach od spodu. Tam cegłę trzeba było umieścić. To były rzeczy, które nam się bardzo później przydawały. Co ciekawe, to było prawie że jawne, bo niektóre wakacje były w namiotach, mieliśmy w wyposażeniu kapelusze Baden-Powella to znaczy z jednym zadartym rondem do góry, natomiast w Warszawie w marynarkach mieliśmy szpilki o różnych kolorach, które świadczyły o tym – czarna, że to „Zawisza Czarny”, potem brązowa czy zielona to była drużyna i zastęp. Aż dziw, że nikt się nie zorientował, że to jest konspiracja. Potem, jak byłem w gimnazjum, chodziło o to, żeby w konspiracji mieć papiery, które by pozwoliły chronić się przed łapankami, więc byłem w prywatnej szkole.

To było gimnazjum i liceum rolnicze Stanisława Wiśniewskiego na Złotej 14. Mieliśmy *Schuleausweisy*. Potem były bardzo interesujące przygody z *Ausweisem*, ale to za chwilę. W gimnazjum zaprzyjaźniłem się również z kolegami ze starszych klas. Tam był Andrzej Czałbowski (potem się dowiedziałem, że miał pseudonim „Kruk”), który bardzo mnie namawiał, żebym wstąpił do 21. Warszawskiej Drużyny Harcerzy Prądzyńskiego. Okazało się, że to jest drużyna z ogromnymi tradycjami, bo ona powstała w 1913 roku. Harcerze, wychowankowie, po kolei uczestniczyli we wszystkich wojnach – w 1914 roku, potem w wojnie bolszewickiej, w 1939 roku i tutaj. Okazało się, że drużyna powstała od razu w 1939 roku, w październiku. Była, że tak powiem, przedłużeniem tej, która już miała bardzo wiele lat, ale była utworzona... To było gimnazjum Ziemi Mazowieckiej z bardzo dawnymi tradycjami. Równocześnie w 1939 roku starsi chłopcy z drużyny harcerzy utworzyli oddział wojskowy. Ponieważ to byli chłopcy już nieźle przeszkoleni, jeszcze później przechodzili szkolenia dodatkowe, to podlegali bezpośrednio Komendzie Głównej Armii Krajowej. To było o tyle ważne, że uczestniczyli również w działaniach poza obrębem Warszawy. Na przykład była akcja „Syrena” – przyjmowanie zrzutów z dywizjonów, które startowały z Brindisi i zrzucały zaopatrzenie. Oni to przejmowali. To byli starsi koledzy. Potem bezpośrednio działali pod Komendą Główną Armii Krajowej. Wstąpiłem tam w 1944, ponieważ skończyłem lat szesnaście, a do Armii Krajowej można było być przyjmowanym jak się miało lat szesnaście. Złożyłem przysięgę i zostałem żołnierzem w służbie obserwacyjno-alarmowej 2. harcerskiej baterii. Ona powstała z kolei dlatego, że w 1943 roku Niemcy rozmieszczali na terenie Warszawy znakomite,

bardzo nowoczesne szybkostrzelne działka dwudziestomilimetrowe, miały szybkostrzelne magazyny na szesnaście pocisków. To były dosyć skomplikowane, nowoczesne działka. Potrzebne były oddziały, plutony, przygotowane do obsługi działek w razie zdobycia obiektów. One były świetne, miały niezłe rezultaty jako artyleria przeciwlotnicza, ale również można było je używać do zwalczania czołgów (były oczywiście zmiany amunicji) i przeciw piechocie. Jak podlegaliśmy od 1944 roku Komendzie Głównej, oczywiście wydziałowi artylerii, przygotowywali instrukcje dotyczące obsługi różnych typów armat i haubic, tam były również instrukcje do dwudziestek. Oczywiście nie mieliśmy działek bo one były w rękach niemieckich. To było niesłychanie szczegółowo opisane. Każdy z członków obsługi poszczególnego działka dokładnie wiedział, co ma robić. To było pozorowane szkolenie teoretyczne, jedni ładowali magazyny, drudzy podawali, siedział na krześle, nazwijmy siedzisku, jeden z kolegów, który kręcił, nastawiał celowniki. Jednym słowem wszystko było przeszkolone w sposób teoretyczny, ale tak to można było robić.

Doszło do tego, że państwo zdobyli działka?

Nie, tutaj się zaczynają sprawy, które są przez historyków nieco mieszane. Ponieważ byliśmy przeszkoleni do obsługi określonych działek, dostaliśmy rozkazy. To był rozkaz operacyjny, on jest ważny na określony teren, na określony czas. Otóż nasza bateria została podzielona. Myśmy podlegali Komendzie Głównej Armii Krajowej, potem był 25. dywizjon artylerii przeciwlotniczej zlokalizowany w Śródmieściu, jeszcze była bateria na Żoliborzu, ale ona nie zdołała się zorganizować w okresie Powstania. W każdym bądź razie 1. pluton, w którym miałem zaszczyt służyć, był w rejonie Dworca Głównego, który był na skrzyżowaniu Marszałkowskiej, Alej Jerozolimskich, inaczej jak teraz. 2. pluton miał obsługiwać działka, które były na Moście Poniatowskiego i w okolicy. Jak są teraz wieżyczki po obu stronach mostu, to tam były platformy i na platformach stały działka. Następny, trzeci pluton miał obsługiwać działka zorganizowane na WIG-u, to jest Wojskowy Instytut Geograficzny i na Dworcu Poczтовым. To były bardzo piękne założenia, ale okazało się, że 31 lipca Niemcy zdjęli działka i z Mostu Poniatowskiego, i z WIG-u, po prostu zabrali je, przenieśli gdzie indziej. Ale rozkazy były wydane.



1. pluton – wiadomo, stanowiska wyjściowe były na Chmielnej 6, myśmy tam egzystowali. Wiadomo, że tam mam być. Natomiast koledzy z dwóch plutonów – z Mostu Poniatowskiego i z WIG-u dostali dopiero rozkazy, wtedy jak była koncentracja koło godziny czwartej. Oni dopiero [wtedy] musieli się przemieszczać, nie zdążyli dotrzeć. Ponosili straty zwłaszcza ci, co przechodzili od Mostu Poniatowskiego. Po drodze tam były silne pola obstrzału niemieckiego. W jakichś opracowaniach, tak jak było w godzinie „W”, to jest podany tylko 1. pluton 2. harcerek baterii artylerii przeciwlotniczej „Żbik”, że ma być na Chmielnej 61 i w niektórych opracowaniach, publikacjach jest, że tam był jeden pluton, ale już 2 sierpnia były tam trzy plutony. Dostaliśmy rozkaz operacyjny, że mamy podlegać

operacyjnie, więc na określony czas, 4. zgrupowaniu Armii Krajowej „Gurt”, które miało zdobywać Dworzec Główny. Oczywiście tego nie można było wykonać, bo mówiąc delikatnie Niemcy mieli na Dworcu Głównym więcej broni ciężkiej, jaką kto chce, niż wszyscy powstańcy razem wzięci. Poza tym jeszcze można było dojeżdżać od strony Pragi, tak że mieli posiłki. Nikt nie był w stanie, nie dość, że „Gurt”, ale w ogóle wszystkie zgrupowania Armii Krajowej, które były w centrum Warszawy w Śródmieściu, nie mogły tego zdobyć. To była rzeź. Trzeba mieć wyobraźnię – jak można zdobywać, jeśli jest płaska przestrzeń, nie ma się broni ciężkiej, żeby rozwalić bunkry, w których są karabiny maszynowe i nacierać w ogniu karabinów maszynowych. Niemcy mieli znakomitą broń, z którą się zapoznałem po Powstaniu. Mieliśmy coś takiego, to były MG 42 znakomite karabiny maszynowe, teoretycznie tysiąc dwieście pocisków na minutę, strzelało się krótkimi seriami. Nacierać bez przygotowania artyleryjskiego, czy jeśli nie było zasięgu do celnego ostrzału z PIAT-a, bo mieliśmy parę granatników przeciwpancernych angielskich, to było wystawianie ludzi na śmierć. Tego nie zdobyliśmy.

Czy pan był wtedy uzbrojony?

Jeśli chodzi o 1. pluton, bo mówimy o godzinie „W”... Na ogół wszyscy sobie przyjmują godzinę „W”, jaki był stan, jakie było uzbrojenie. Otóż w godzinie „W” mieliśmy jednego Stena, zgromadziło się. Już z 2. plutonu część chłopców przyszła, było wtedy sześćdziesiąt osób, a dopiero wieczorem i następnego dnia ścignęli resztki plutonów i służby pomocnicze, sanitariat, to wszystko. Pierwszego to mieliśmy Stena, kilka, koło dziesięciu pistoletów, amunicja, sześć magazynów do Stena. Zresztą mam zdjęcia ze Stenem z czasów Powstania. Tego samego wieczoru, ale w opracowaniach już tego nie ma, na ulicy Chmielnej nasz pluton przyłapał ciężarówkę niemiecką, oczywiście Niemcy się poddali. Były dwa karabiny typu Mauser, niemiecki Panzerfaust – broń przeciwpancerna i sporo amunicji. Oczywiście były kanistry z benzyną, które nam się bardzo później przydały. Już wieczorem był inny podział uzbrojenia. A podaje się w książkach to co było o godzinie „W”, czyli o piętnastej. Ogólnie rzecz biorąc uzbrojenie było bardzo kiepskie, to nie było tak, że każdy z nas miał broń na stałe, tylko broń była przydzielona do określonych punktów. Mieliśmy z osiem punktów ogniowych w kierunku Alej Jerozolimskich, Dworca Głównego. Jeszcze nie powiedziałem, że mój pluton, to znaczy 1. pluton, był w budynku braci Wierzbickich. To była ogromna drukarnia i budynek żelbetowy, najwyższy w tej części Warszawy, bo jeszcze była nadbudówka. Tam właśnie był 1. pluton. Tak naprawdę broniliśmy, obsadziliśmy, odcinek pierwszego i drugiego dnia między Chmielną 55 a 67. Już 2 sierpnia pobudowaliśmy barykady odgradzające nas od Marszałkowskiej, z drugiej strony od Żelaznej i od Sosnowej. Pozycje mieliśmy już przygotowane, bardzo nam pomagała ludność cywilna.

Z czego barykady były zbudowane? Czego państwo używali?

Bardzo różnie, przeważnie to był bruk (zresztą z bruku, to już jest dalsza sprawa, mamy dojście do Pomnika Czynu Zbrojnego 4. zgrupowania). To było chyba najlepsze, ale były meble, worki z piaskiem, przeważnie worki z piaskiem. Poza tym musieliśmy barykadować okna, przecież byliśmy na pierwszej linii, przed nami byli tylko Niemcy. Czego było najwięcej w drukarni? Bel papieru. To były bardzo potężne płaskie bele, myśmy układali je w oknach.

Dopiero później, w drugiej części Powstania mieliśmy nieco lepsze uzbrojenie. Jak w pierwszym dniu mówiłem, że sześćdziesiąt, to później... To było bardzo ciekawe i sądziłbym, że warto o tym powiedzieć. To nie było tak, że natychmiast był zebrany cały stan baterii. Otóż dołączały nasze plutony, przecież nie wszyscy od razu przychodzili, bo trzeba było przejść pod ostrzałem niemieckim, ale również później przyłączali się ludzie, którzy nie byli w czasie okupacji w konspiracji w oddziałach „akowskich”, przychodzili do nas. Tam był pan, „Szczepaniak” miał pseudonim, on przyszedł 6 sierpnia z mechanikami i powiedział nam, że zna miejsce, gdzie są ukryte części do montażu Stenów – u Januskiewiczów była fabryka, są ukryte gdzieś pod podłogą. Tam wysłaliśmy patrol. Powstał cały zakład, nasza rusznikarnia. Początkowo składali Steny z istniejących części. Broń posiada lufy gwintowane, ale są specjalne urządzenia do gwintowania luf, tego nie było. Później chłopcy musieli wycierać lufy, żeby je dopasować do pocisków. Dorabiali jeszcze części, których nie było. Tutaj przyłączyli się jedni, potem sierżant „Czarny”, który pracował w telefonach też się do nas przyłączył. On nas podłączył pod sieć telefoniczną od Dworca Głównego, gdzie byli Niemcy i to działało, to było pod napięciem. Później mieliśmy swoją sieć telefoniczną, do której dostępu nie mieli Niemcy, ale myśmy mieli niezłą łączność. Poza tym również zgłosili się ludzie, elektrycy i oni podłączyli nas do kabla, który zasiliał Dworzec Główny. Później mieliśmy prąd. To była bardzo dobra organizacja. Można było w drugiej części Powstania do pompy, która istniała na podwórzu, odłączyć aparaturę, która wyciągała wodę i nas zaopatrywała. Jeszcze to jest ważne, że dołączali do nas również kolejarze, którzy pomogli nam w rozkręcaniu torów kolejowych. Linia średnicowa była niesłychanie ważna. Zaopatrzenie szło na front wschodni, chodziło o to, żeby to przeciąć. 1 czy 2 sierpnia w nocy mieliśmy trochę plastiku, ale okazało się, że nie wystarczająco. Koledzy z saperem poszli to wysadzić. Skończyło się fatalnie, ale nie dla torów, tylko dla kolegów. Zamiast żeby szyny wyleciały w powietrze, to wyleciały kamienie i kamienie ich potłukły. Niektórzy musieli długo leczyć guzy. Kolejarze również się do nas włączyli. Były przedziwne włączenia. Chyba w nocy z 1 na 2 czy z 2 na 3 zameldowało się u nas trzech ludzi. To był sierżant Armii Ludowej, kapitan armii radzieckiej i [ktoś z] ŻOB-u – organizacji żydowskiej. Oni przynieśli z sobą: Zygmunt miał „szmajsera”, któryś z nich miał Mausera i jeszcze mieli Parabellum. Ponieważ nie mogli dotrzeć do swojego oddziału, to poprosili nasze dowództwo, żeby ich przyjąć. Przyjęliśmy. Bardzo byli dzielni. Oni zdobyli broń, mieli tylko Parabellum. Jechał motocykl, sierżant był niezłym strzelcem, trafił Niemca, który prowadził motocykl i się uzbroili. Tam mieli „szmajser” i Mauser. Oni byli bardzo dzielni w czasie Powstania.

Akcja – to co najbardziej mnie utkwilo w pamięci, tego nigdy nie zapomnę. To był 4 sierpnia. Myśmy w domu na dachu mieli lornetę nożycową. Jako że znaleźmy się doskonale na sylwetkach samolotów, wiedzieliśmy, że będą zrzuty, ale również chodziło o sygnalizowanie nadlatujących samolotów niemieckich, żeby uprzedzić ludność cywilną. W tym dniu akurat zobaczyliśmy, że w rejonie Dworca Głównego od strony Mostu Poniatowskiego ustawiał się rząd czołgów, samochodów pancernych. Potem one ruszyły. To było koło sześćdziesięciu czołgów i samochodów pancernych, ogromne przemieszczenie pancernych wojsk niemieckich. Oni byli przekonani, że nikt z powstańców nie zadrze z taką kolumną, bo siła ognia to jest tyle co dywizja. Oficerowie siedzieli w wieżach swoich czołgów, myśmy mieli dwa karabiny. Odległość była taka, że z pistoletów maszynowych, to by nie doleciało nad linią średnicową, bo myśmy byli z jednej strony linii średnicowej, a oni jechali Alejami Jerozolimskimi. Z dwóch naszych Mauserów zaczęli strzelać do oficerów siedzących w wieżach. Oczywiście trafili, bo tam zrobiło się zamieszanie, Niemcy wskoczyli do

wież, kolumna się zatrzymała, przekręcili wieżę i zaczęło się piekło. Z dział i z karabinów maszynowych czołgów zaczęli strzelać do naszego budynku, bo zauważyli, że stamtąd jest prowadzony ogień z karabinów. Proszę sobie wyobrazić co jest w zakładach graficznych. Oczywiście papier, rozpuszczalniki, farby drukarskie, wszystko szalenie łatwopalne. Tam był napis – zakłady graficzne, oni na mapach mieli to świetnie zaznaczone. Zaczęli strzelać amunicją zapalającą. Mieliśmy z lekka zabarykadowane okna. Jak z czołgów trafili w sąsiednie pokoje, to uczucie jest straszliwe. Jak się rozrywa pocisk – a to jest osiemdziesiąt osiem milimetrów, siedemdziesiąt sześć, duże pociski z „Panter” i z „Tygrysów”, myśmy jeszcze nie byli ostrzelani – to żołądek podchodzi gdzieś, człowiek się wręcz dusi, bo huk, eksplozja. Od pocisków zapalających na trzecim piętrze wybuchł pożar. Wtedy nasz dowódca kapral podchorąży „Ruskin” Gromulski Staszek, on był w harcerstwie podharcemistrzem, zorganizował znakomitą akcję gaszenia pożarów. Ludność cywilna ustawiła się w rząd razem z nami i podawali. Trzeba było podawać zarówno wodę z pompy jak i piasek, żeby zasypywać farby.

Ostrzał już wtedy ustał?

Nie, to nie było proste. Jak już prawie przygasał pożar, to wtedy z domów z Alej Jerozolimskich, z wysokości mniej więcej trzeciego piętra strzelały do nas karabiny maszynowe. Staszek Gromulski, nasz dowódca 1. plutonu, został ciężko ranny w brzuch. Długo umierał. To mi najbardziej utkwilo, bo to był nasz wspaniały dowódca i z harcerstwa, i potem już z Armii Krajowej. Później było parę akcji, które mi utkwily w pamięci. Myśmy mieli po osiemnaście godzin służby. To polegało na tym, że przechodziło się z jednego posterunku na drugi. To były stanowiska ogniowe, potem warty w bramach od strony Chmielnej, tylko były te zmiany. Byliśmy straszliwie zmęczeni. Bardzo duże szkody [były] w sierpniu. Później włączyły się jeszcze miotacze min sześciopociskowe. W sierpniu karabiny maszynowe niemieckie dawały nam się wyraźnie we znaki. Wtedy ścignęli kolegów z innych kompanii, porozstawiało się ich na pozycjach ogniowych. Myśmy prowokowali ogień niemiecki. Hełmy się wkładało na szczołkę do zmiatania i przesuwano się tak, że widać było tylko hełm zza okna. Oni rozpoczynali ogień. Potem się zorientowali, że my ich wpuszczamy w maliny, jak to się ładnie teraz mówi i nie reagowali. Wtedy któryś z naszych kaprali powiedział: „Kto na ochotnika przebiegnie?” Za Chmielną 67 był parkan. Niemcy go zapalili pociskami zapalającymi. „Kto przeleci tam i spowoduje ogień?”. W życiu bywają takie chwile, że człowiekowi jest wszystko jedno, przestaje myśleć, działa tak, jak już jest straszliwe zmęczenie. Zgłosiłem się na ochotnika, że przebiegnę. Potem się zorientowałem, jak się zgłosiłem, że to nie przelewki. Przecież oni będą z karabinów maszynowych strzelali do mnie, bo to będzie widać. Tylko się rozejrzałem. Martwe pole [było] do spływu wody z boku ulic. Przebiegłem parę metrów, oni zaczęli strzelać, rzuciłem się tam, wyczołgiwałem się. Jak pociski uderzają tuż o bruk, to robi wrażenie. Tam były akcje bojowe takie, siakie. Interesujące może być to, co robiliśmy jako harcerze, bo w końcu byliśmy żołnierzami Armii Krajowej, walczyliśmy, ale czuliśmy w dalszym ciągu to, czego nas uczono w harcerstwie. Myśmy starali się dodawać otuchy ludności cywilnej.

W początkowej fazie zapał był ogromny. Pierwsze dni Powstania, to radość, wszędzie pełno polskich sztandarów. Ludzie przez pierwsze dni, pierwsze siedem dni, jeszcze nie mieliśmy zorganizowanych kuchni polowych, to nam przynosili jedzenie. Później już jak zaczął się mocniejszy ostrzał i zwłaszcza jak zaczęli Niemcy strzelać z granatników – to pocisków [był] nad dachami domów, eksplozje na

podwórzach domów, człowiekowi się wydaje, że jest w martwym polu ostrzału, a nieprawda, bo pociski lecą – to ludność siedziała w piwnicach. Już mówię o drugiej połowie sierpnia, o wrześniu, kiedy Niemcy włączyli – myśmy nazywali to „krowy”. Potem po wojnie zaczęli mówić na to minomioty, z rosyjskiego. To były sześcioletnie moździerze niemieckie, one po kolei odpalały. Dźwięk był taki jakby krowy ryczały. Pociski robiły straszliwe szkody. Już potem ludność starała się nie wychodzić, bo to były straty niesamowite. O ile zapał był wspaniały w pierwszych tygodniach Powstania, to później ludzie w piwnicach już byli naprawdę przygnębieni. Przecież każdy miał już starty, jeść nie mieli czego. Myśmy ich dokarmiali. Sami mieliśmy bardzo kiepskie jedzenie. Z browarów Haberbuscha i Schiellego nasze patrole przyniosły jęczmień. Nasze dziewczęta, sanitariuszki, łączniczki na młynkach od kawy, teraz już się tego nie stosuje, miały ziarno i była zupa myśmy ją nazywali „plujka” dlatego, że łuski z jęczmienia były okropne, połowę to się wypluwało. Dzieliliśmy się również tym. Nastrój był już bardzo przygnębiający. Myśmy od czasu do czasu robili ogniska. Otóż w sali na parterze, to była hala produkcyjna, która nie miała okien od strony Alej Jerozolimskich i pozycji niemieckich, tam urządzaliśmy jak gdyby ogniska harcerskie. Zapraszaliśmy ludzi z sąsiednich domów z piwnic. Oni przychodzili i tam śpiewaliśmy harcerskie piosenki, piosenki z konspiracji, później piosenki powstańcze. To bardzo podnosiło nastrój.

Jak często się to zdarzało?

Cztery czy pięć razy mieliśmy ogniska. Zresztą one były bardzo wysoko ocenione przez dowództwo zgrupowania. Okazało się, że ci ludzie jakby odżywiali, znowu nabierali nadziei, że jakoś to się skończy, nie tak jak się skończyło. To były bardzo ważne spotkania. Oczywiście oprócz wesołych części, żeby odstresować trochę ludność cywilną i żebyśmy my sami się odstresowali, tam było również trochę smutku. Koledzy, co mieli dyżury, byli na stanowiskach ogniowych, ale cała reszta była w hali. To bardzo nam pomagało.

Były też momenty żeśmy wspominali tych, którzy ginęli, bo jednak z naszej baterii zginęło dziewiętnastu – to byli dziewczęta, chłopcy. To były straszne rzeczy, bo mieliśmy piękne dziewczęta. Pamiętam, jedna miała bardzo piękne długie włosy, ona wyszła z rozkazem, tam trafiła bomba, był nalot. Potem poznali ją tylko po włosach. Jak się spotykaliśmy, wspominaliśmy, to były bardzo smutne chwile. Z rzeczy bardzo interesujących, to było to, że były zrzuty. Przylatywały z Brindisi, to były „Liberatory”, ale również inne maszyny czterosilnikowe. Oni mieli rozkaz dokonywania zrzutów na określone miejsca, na określone pozycje, ażeby dokonać zrzutów tam, gdzie trzeba. Później było już tak, że jeden dom czy kwartał domów, to zajmowaliśmy my, a potem byli zaraz Niemcy. Żeby zasobniki spadały na nasze pozycje, to oni latali mniej więcej na dwustu metrach nad Warszawą. Na Dworcu Głównym – sto pięćdziesiąt metrów byliśmy od Dworca Głównego i od pozycji niemieckich – były działka przeciwlotnicze, które mieliśmy obsługiwać. Były reflektory. Oni reflektorami wyłapywali samoloty,



które nadlatywały i otwierały ogień. Z naszych w cudzysłowie działek, to jeśli się strzelało seriami to leciało szesnaście paciorków, pocisków. Było widać maszyny, bo łapali je w reflektory. One wlatywały w ogień reflektorów i pocisków. Dla mnie to było ogromne przeżycie. Jak do nas Niemcy strzelali, jeśli słyszało się świst kuli, to w porządku, bo już przeleciała, ale oni widzieli, *advance*, zanim wlatywali w ogień widzieli, że za chwilę tam wleczą. Tak sobie marzyłem, że jeśli przeżyję to piekło – bo to było piekło, wszystko płonęło, znaczy w dzień było ciemno od dymu, a w nocy była łuna, było różowo, bo w koło płonęły domy – to chciałbym uściskać dłoń pilotom, którzy tak narażali swoje życie. Później ich spotkałem, ale to po wojnie i się nimi opiekowałem.

Czy zrzucały się w państwa ręce?

Tak, ale bardzo niewiele. Potem zresztą trzeba było [je] przekazywać. Tam były PIAT-y, granatniki przeciwpancerne, amunicja do nich, czekolada, papierosy, „Steny” amunicja do „Stenów”, kaliber dziewięć. Zaopatrzenie było, ale to trzeba było przekazywać dowództwu. Natomiast myśmy mieli, jak mówiłem, produkcję Stenów i siebie, koło pięćdziesięciu, sześćdziesięciu wyprodukowano. Tak, że później mieliśmy Steny. Potem we wrześniu jak już było wiadomo, że z Powstania nic nie będzie, żadnego zwycięstwa, tylko straty, to również Rosjanie się włączyli. Oni nadlatywali kukuruźnikami, dwupłatowe Po-2, oni zrzucali w workach. Jak zrzucali w worku z pięćdziesięciu metrów, to przecież znaczna część broni, którą zrzucali – zupełnie niezłe były rusznice przeciwpancerne wielokalibrowe i do nich amunicja, dłuższe pociski, większy kaliber – to w dużej części to było uszkodzone, już nie można było tego używać.

Mieliśmy też rusznicę przeciwpancerną oprócz PIAT-ów. Tutaj był dla nas zabawny, ale dla kolegi, który obsługiwał rusznicę, to raczej smutny epizod. Położył się, tam był stół przy stanowisku ogniowym przy oknie zabarykadowanym workami z piachem. On sobie ustawił rusznicę, ale w życiu z tego nie strzelał. Usadowił się, przymierzył. Strzeliliśmy z rusznicy do okien Dworca Głównego, tam czasem przelatywali Niemcy, było ich widać. To był dosyć celny sprzęt, który ocalał ze zrzutów. On się przymierzył. Pierwszy raz jak strzelił, to zleciał ze stołu, bo to jest odrzut ogromny. Myśmy się śmiali, jak on czuł, że to boli. Później już wiedział, jak się strzela. Tak że były sytuacje i smutne, i bardzo poważne.

Poza tym było też nasze życie religijne. Najbardziej do zapamiętania to było po natarciu czołgów, jak już niezłe nas okładali. Potem Niemcy strzelali do nas z dział, z karabinów maszynowych i używali wyłącznie Ju-87 *Sturzkampfflugzeug*, czyli samolotów nurkowych, Junkers-87. Myśmy byli za blisko pozycji niemieckiej, oni Heinkel 111 czy Dornier 217, czy inne, które używali, to raczej bombardowały zaplecze, natomiast w stosunku do nas używali samolotów nurkowych. Z samolotami to też opowiem historię.

Jedno ze stanowisk naszych było na dachu domu i słyszeliśmy, że nadlatuje samolot. Był jeszcze kolega, mieliśmy aparat telefoniczny, lornetę nożycową. Słyszmy, że nadlatuje Junkers-87. W pewnym momencie słysząc, jak on zaczyna nurkować, oni włączali syrenę, tam mieli chłodnice powietrzną. To był ryk, ale potem cieńszy dźwięk – wiadomo, że odłączył bombę. Myśmy zostawili wszystko. Wtedy chyba pobitem rekord życiowy, bo z siódmego piętra trzeba było jak najszybciej się ewakuować. Zaczęliśmy biec po schodach. Ponieważ to były hale produkcyjne, to klatka schodowa szła na zewnątrz, tam były okna z dwóch stron. Na Chmielną i w kierunku Alej Jerozolimskich. Bomba przeleciała ze strasznym świstem nad naszym

domem i uderzyła w budynek po drugiej stronie ulicy Chmielnej. Tam była dosyć wąska ulica. Wtedy przy eksplozji okna wyleciały z ramami, wszystko przeleciało koło nas. Nigdy tak szybko po schodach nie zbiegałem. Potem zaczęła się akcja ratunkowa, bo tam zawaliło dom. Trzeba było odkopywać ludzi, cywilów, tam sporo nagięło. To były sytuacje nieprzyjemne.

Wspomniał pan o życiu religijnym, czy mógłby pan powiedzieć jakie były formy życia? Czy spotykali się państwo na mszach?

Życie religijne, jak sobie wyobrażam, to [jest] osobna część. Jak już zrobiło się groźnie, samoloty włączyli przeciwko nam i artyleria, i to wszystko, pewnego dnia... Myśmy chodzili na msze, nasza bateria gromadziła się na Złotej 22. Tam było duże podwórze, to już było trochę za linią frontu, tam ustawialiśmy się plutonami za wyjątkiem ludzi, którzy byli na służbie. Przeżycie ogromne to było, jak ksiądz nam udzielił rozgrzeszenia w zagrożeniu śmierci. Oczywiście powiedział nam, że jak przeżyjemy Powstanie, to że mamy pójść i się potem wypowiadać. Wtedy ksiądz nam powiedział, że lada moment możemy umrzeć. Sami wiedzieliśmy, że trzeba się z Bogiem jednać. Piękne nabożeństwo to było w dniu 15 sierpnia, to jest Święto Wojska Polskiego. Zgromadziliśmy się rano, była bardzo uroczysta msza. Najpierw był apel poległych, potem piękne przemówienie księdza, naszego kapelana. Na zakończenie odśpiewaliśmy hymn, rozeszliśmy się na stanowiska. Mieliśmy [msze] w każdą niedzielę. To było dosyć ryzykowne, bo jakby Niemcy nakryli nas ogniem z moździerzy, to tam by nikt nie ocalał, bo to było dosyć duże podwórze.

Co niedzielę udawało się państwu gromadzić na mszy?

Na Złotej 22 myśmy byli, nasza bateria i oddziały, które były w najbliższej okolicy. Przecież nie można się było bardzo daleko przemieszczać, bo w razie natarcia niemieckiego czy ataku, to musieliśmy być blisko. W każdym bądź razie mieliśmy życie religijne. Bardzo piękne mieliśmy apele rano, oczywiście śpiewaliśmy: „Idzie dzień, słońce już...”. Śpiewaliśmy również harcerskie pieśni nabożne. W ogóle harcerze byli nastawieni bardzo religijnie, każdy chciał mieć grzechów odpuszczenie, bo nie było wiadomo, kiedy komu przyjdzie umrzeć. Bardzo mocno to wspominam. To były bardzo wzniosłe chwile, tego się nie zapomina. Myślę, że warto chyba porozmawiać na temat „Grup Szturmowych”. Otóż w czasie Powstania bardzo niewiele oddziałów było takich, w których wszyscy dysponowali bronią i byli dobrze przygotowani do akcji, do walk ulicznych. To jest duża różnica – walki uliczne czy walki w polu. Otóż z każdego oddziału nie można było zabierać zgrupowania czy całych kompanii z pozycji, bo jakby Niemcy natarli, to by sobie przeszli bardzo łatwo. Oddelegowywało się ludzi dobrze uzbrojonych do poszczególnych akcji. To nie było tak, że nacierało całe zgrupowanie, które zajmuje pozycje. Myśmy osłaniali Śródmieście Północ od Niemców, którzy byli na Dworcu Głównym. Jak byśmy wysłali całą kompanię czy coś, a Niemcy by uderzyli, to by poszli jak w masło. W związku z tym wysyłało się „Grupy Szturmowe”, ludzi najlepiej uzbrojonych, to z poszczególnych plutonów się dobierało. Była pierwsza akcja na PASTĘ, to było 18 sierpnia. Natomiast 30 sierpnia, jak było przebijanie się oddziałów ze Starego Miasta – oni w pierwszej wersji mieli przejść górą – to wysłaliśmy dwie „Grupy Szturmowe”. Jedna poszła w kierunku Hali Mirowskiej, tam była duża koncentracja wojsk niemieckich. Było też nasze natarcie wielu zgrupowań „akowskich” na Ciepłą. Tam była komenda policji. Zresztą tam sporo ludzi od nas zginęło, bo walki były ciężkie.

Wielokrotnie byliśmy używani do działań poza naszymi stanowiskami. Myślę, że jeszcze ciekawe będą sprawy dotyczące przygotowywania się. To też są nieporozumienia.

W połowie września myśmy dostali (my to znaczy 2. harcerska bateria, powiedziałem, że podlegaliśmy Komendzie Głównej poprzez 25. dywizjon artylerii przeciwlotniczej) rozkaz operacyjny, na określony czas, że mamy w ramach reorganizacji, jaka była wtedy czyniona, podlegać w dalszym ciągu Batalionowi „Gurt”, ale już nie 4. zgrupowaniu. Powstały jednostki typu bardziej wojskowego a mniej konspiracyjnego, a więc Batalion „Gurt” 15. pułk piechoty „Wilków” i 28. dywizja piechoty Armii Krajowej, linia „Rataja”. To było działanie, jak sądzę, związane z tym, że w końcu udało się w cudzysłowie przyjaciółom z zachodu doprowadzić do uznania nas jako kombatantów. Niemcy już nie rozstrzeliwali, tylko musieli brać do niewoli, ale nikt nie mówił o tym do ewentualnej kapitulacji. Oczywiście były jeszcze objawy przedłużania Powstania.

Później rozmawiałem z pilotami, którzy nam zrzucali broń. To była masakra, co się z nimi działo. Oni nie mieli prawa lądowania na lotniskach sowieckich w pobliżu Warszawy, tylko musieli z Brindisi lecieć nad Warszawę, zrzucić broń. Po drodze już były walki z niemieckimi myśliwcami nocnymi, zresztą znakomicie przygotowanymi do walki. Były duże straty. Do pięćdziesięciu procent maszyn nie wracało z takiej akcji. Był okres, że tylko tysiąc pięćset osiemdziesiąt któryś dywizjon powstały z 302. dywizjonu bombowego (Polacy) latał. Mówiło się eskadra, ale to tyle co dywizjon. Tylko jak już nie mieli maszyn, bo maszyny były uszkodzone, postrzelane straszliwe, to Brytyjczycy byli na tyle dobrze nastawieni, że pożyczali swoje maszyny i te maszyny były stręcane. To była masakra. Chyba 14 września była „parada” bombowców amerykańskich. Oni dostali zgodę od sowietów, że mogą lądować na terenie Rosji. Tylko że oni w odróżnieniu od Brytyjczyków, tam jest South African Air Force i Royal Air Force, ci piloci latali wyłącznie nocami, natomiast Amerykanie przylecieli w dzień. O ile tamci latali nocami na dwustu metrach czy nawet stu pięćdziesięciu, żeby trafić w poszczególne pozycje i były bardzo ciężkie starty właśnie dlatego, że byli nastawieni nawet na ogień karabinów maszynowych, to Amerykanie lecieli na dziesięciu kilometrach, dziesięć tysięcy metrów. Ich zasobniki spadały bardzo daleko od naszych pozycji na ogół, bardzo niewiele z tego co oni zrzucili zostało przez nas odebrane. Zresztą potem, jak wychodziłem po Powstaniu, to Niemcy chyba dlatego, żeby nas jeszcze bardziej zgnębić – mieli znakomitą broń maszynową szmajsery czy Bergmany – to oni mieli „Steny” właśnie ze zrzutów, żeby pokazać: „Takich macie przyjaciół, jak zrzucają, to głównie dla nas”. To było bardzo przykre. Wtedy właśnie zaczął rosnać na nowo duch, bo sądziliśmy, że będzie pomoc, coś się będzie działo. Już nic nie było.

Czy pan sam widział, jak samolot aliancki był zestrzelony?

Widziałem resztki samolotów. Natomiast znam pilotów. Jeden jako jedyny z Liberatora, który się rozbił w Parku Skaryszewskim z South African Air Force, czyli Powietrznych Sił Południowo-Afrykańskich... Cranwell – oni też latali, tylko to byli mniej przygotowani młodzi piloci. [Tu] byli bardzo postrzelani, lądowali na Okęciu. Były stręcane samoloty na Miodowej, ale tuż koło nas nie. To były ogromne maszyny. Halifaxy i Liberatory to były ciężkie maszyny, nieźle opancerzone, zresztą nieźle uzbrojone. Nawet jak one były postrzelane, to jeszcze trochę mogły odlecieć. Oni nie spadli blisko nas. Później to już była sprawa przygotowywania się do poddania. Ludność cywilna szczerze mówiąc już miała dość Powstania. Myśmy mieli też ciężkie

straty. To nie był duch pełen radości jak w pierwszych dniach Powstania, kiedy wreszcie czuliśmy się wolni. Już tyle krwi się przelało. Myśmy jeszcze chcieli walczyć, ale wiedzieliśmy, że to jest sprawa nie do wygrania. Wszyscy młodzi żołnierze dostali rozkaz od „Żuka” dowódcy baterii, żeby wyjść z ludnością cywilną. Miałem specjalnie jeszcze powód, mianowicie panowała dyzenteria krwawa, bo bakterie. Tam nie bardzo było pod dostatkiem wody, już nie mówiąc o mydle. Higieniczne warunki nie były najlepsze, w cudzysłowie oczywiście, bo były złe. Rozprzestrzeniła się dyzenteria i po paru dniach człowiek się słał na nogach, bo to jest ogromne odwodnienie organizmu. Jak już zbliżał się koniec Powstania, to dowódca wydał mi rozkaz, żebym poszedł do rodziny się leczyć, bo tam u nas już nie bardzo było jak. Poszedłem, wyszedłem z ludnością cywilną.

Może jeszcze cofnę się do Powstania, bo to jest rzecz ważna. Przy każdym plutonie oprócz innych służb pomocniczych byli saperzy, żandarmeria i to wszystko, jak w normalnym wojsku, ale również mieliśmy sanitariat, sanitariuszki. To były dziewczęta siedemnasto-, szesnastoletnie. Nosiły przecież na noszach dosyć ciężkich chłopaków, bardzo były dzielne. Zgrupowanie „Gurt”, w którym byłem, miało cztery punkty szpitalne i szpitale. Największy nasz szpital był na Żółtej 58. Dlatego o tym mówię, bo tam umierali również ciężko ranni moi koledzy. Tam nie było gdzie chować ludzi i chowano na podwórzach, tam gdzie były barykady, rowy to tam również. Bardzo dużo na Żółtej było naszych grobów, tam gdzie były nasze szpitale Żółta 58. Zresztą też Niemcy go ostrzeliwali, tam był pożar, były kłopoty. Tam właśnie barykady były robione z brukowców. Myśmy na miejscu, gdzie byli chowani nasi koledzy, to jest naprzeciwko domu Żółta 58, na ścianie PKO – Żółta 58 to jest zespół szkół – tam gdzie po wojnie były ekshumowane groby kolegów, jest teraz nasz pomnik Czynu Zbrojnego Zgrupowania Armii Krajowej „Gurt”. Wiadomo, gdzie rozpoczynały się nasze pozycje. Jeszcze nie powiedziałem, że pozycje „Gurta” były od Żelaznej aż do Marszałkowskiej, miejscami aż do Świętokrzyskiej. Mieliśmy dużą część Śródmieścia Północ.

Potem wyjście z Warszawy. Poprzez Pruszków wywieźli nas do Końskich. Ojczym kończył studia w Czechosłowacji, ale to jeszcze przed I wojną światową. Miał przyjaciela w Popnie koło Rogowa, w kutnowskim, koło Brzezin dokładnie. Wyglądał jak nieboszczyk, po dyzenterii bardzo zeschuplał – chodzący patyk. Nie wzięli nas na roboty, ojczym był starszy, mama. Pojechaliśmy do Popnia. Okazało się, że w majątku, to był duży majątek, ci którzy wcześniej zostali wywiezieni z Warszawy, jeszcze w czasie Powstania, osiedlili się i już nie ma miejsc. Właściciel Popowski miał znajomości w sąsiednim miasteczku Jeżów i tam u rolnika nas zainstalował. Tam pracowałem, pomagałem w gospodarstwie. Oni się nazywali Mariańscy. Zauważyłem, że do [ich] syna Gienka przychodzi młodzież. Myśmy mieli niezłe przeszkolenie w konspiracji. Jak przychodzą, po cichutku gadają, zorientowałem się, że tu jest konspiracja, coś się dzieje. Już się wyleczyłem z dyzenterii, to był już październik. Zacząłem sobie kombinować, jeszcze trochę obserwowałem. Na początku listopada poszedłem do Gienka i mówię: „Słuchaj zorientowałem się, że coś tutaj się dzieje, wiem, że jesteś



porządny człowiekiem, w takim razie powiem ci, że byłem w »Szarych Szeregach«, a później w Armii Krajowej i że przechodziłem przeszkolenie w różnych typach broni”. Oprócz tego w budynku, który bezpośrednio broniliśmy, w drukarni Wierzbickiego były drukowane dla celów konspiracji instrukcje obsługi broni: sowieckiej, angielskiej, amerykańskiej, niemieckiej. W wolnych chwilach, których dużo nie było, ale były, to nawet na stanowisku, jak się nic nie działo, to każdy sobie studiował. Znałem się niezłe na broni przynajmniej teoretycznie. Powiedziałem: „Znam się na broni, może bym się tutaj przydał”. – „My przecież tutaj nic nie mamy”. – „Dobra, wiem swoje”. Gdzieś po paru dniach Gienek przychodzi i mówi: „Słuchaj, jak chcesz to przyjdź do stodoły Wojtka”. – „O której?”. – „A o piątej”. To już listopad, ciemno. Przychodzę do stodoły. Stolik, na stoliku krzyż, stoi paru chłopców z bronią i mówi: „Składaj przysięgę”. Składam przysięgę. Składałem przysięgę w „Szarych Szeregach” i w Armii Krajowej, a to słowa trochę inne. Nie wiedziałem, o co chodzi. Okazało się, że Gienek był dowódcą drużyny w jednym z plutonów oddziału. Mówi: „Gratuję ci, od tej chwili jesteś żołnierzem Narodowych Sił Zbrojnych”. Nie wiedziałem, że to nie jest Armia Krajowa. To jest też nieporozumienie. Wszystkim się wydaje, że myśmy wiedzieli do czego wstępujemy, nikt nie wiedział. Jak były układy koleżeńskie, to mówili: „A wiesz to jest...”. Okazało się, że to jest NSZ. Tam przechodziłem przeszkolenie poważne z bronią. Ponieważ znałem się na tym, to zajmowałem się konserwacją broni.

Potem już w styczniu, 17 stycznia pewnie, przechodził front i armia radziecka przejeżdżała szosami, a Niemcy uciekali polami. Najpierw [przechodziły] zwarte oddziały, a potem ci, którzy byli odcięci, uciekali polami. Przecież śnieg, z daleka widać, że ktoś tam się porusza. Rosjanie nie wysiadając z czołgów po prostu [strzelali] z karabinów maszynowych czy z dział „T-34”, świetne armaty mieli, tłukli Niemców strasznie dużo. To była już obrona Łodzi koło Jeżowa. Ponieważ w założeniach Narodowych Sił Zbrojnych było, że my tutaj będziemy walczyć aż do osiągnięcia niepodległej Polski i że w założeniach również było, że być może będzie trzecia wojna światowa, że trzeba przygotowywać się do tego, to myśmy chodzili po polach i zbieraliśmy broń.

Tutaj powiem ciekawostkę. Byłem tam od dosyć niebezpiecznych zabaw, mianowicie byłem od rozpoznawania broni, która nie była powszechnie znana. Był różne przygody, o których za chwilę. Była [przygoda], którą mocno przeżyłem. Z moim bezpośrednim dowódcą z Gienkiem poszliśmy testować broń. Dostaliśmy pistolet Parabellum i karabin snajperski Mauser. Ustawiliśmy sobie butelki i strzelaliśmy do tego, chodziło o ustawienie celowników, czy to jest w porządku jeśli chodzi o przyrządy celownicze, bo czasem były uszkodzone, stuknięte. Wszystko było dobrze, bawiliśmy się świetnie, bo młodzi chłopcy i broni, amunicji strasznie dużo... W pewnym momencie nie zauważyliśmy, patrzymy – otacza nas tyraliera, pluton milicji. Z „pepeszami” wiadomo nie ma żartów. „Ręce do góry!”. Myśmy się poddali, oni zabrali nam broń „snajperkę” i Parabellum. Wzięli nas na posterunek, potem broń zabrali, a nas wypuścili. Wieczorem zostaliśmy wezwani do dowództwa i dostaliśmy taki „opeer”, że głowa boli, padały brzydkie wyrazy – jak mogliśmy tak blisko posterunku milicji zabawiać się strzelaniem? Trzeba wiedzieć, że pluton milicji to byli żołnierze NSZ- u. Też niewiele osób o tym wie, ażeby mieć rozpoznanie, trzeba mieć zawsze wywiad, to jest bardzo ważne w wojsku. Jak jest konspiracja, to nie ma przelewów, trzeba wiedzieć, co nieprzyjaciel może, jaki kawał zrobić. Jeden z plutonów naszego oddziału Narodowych Sił Zbrojnych, dostał rozkaz ochotniczego wstąpienia do milicji obywatelskiej. Zaopatrzenie w broń mieliśmy również od milicjantów, oni chodzili po gospodarstwach, bo rolnicy się zabawiali, tam broni było

pełno. Jedni przychodzili do drugich, krowy sobie podkradali czy coś. Zabierali im broń i potem broń nam przekazywali. Poza tym wiedzieliśmy, kiedy przyjeżdża UB, jakby się miało coś stać złego. Zresztą przydało się i mnie, bo wiedziałem kiedy wiać stamtąd. Otóż były czasem bardzo groźne momenty. Kiedyś poszliśmy drużyną zbierać broń, a tego było bardzo dużo. Potem nasza drużyna nasza miała więcej broni, większą siłę ognia, jak cała bateria w czasie Powstania. Na polach znaleźliśmy wtedy „MG-42” wspinały karabin maszynowy, Mausery pistolety maszynowe. Tylko wszystko było ubabrane śniegiem. Jak się zbierało, to nie było czasu, żeby przeładować, choćby odetkać lufy. Nie można strzelać jak jest zatkana lufa, bo rozerwie. Wracaliśmy. Nas było chyba siedmiu. Przez pole idzie facet w fufajce, buty też ma sowieckie, a my idziemy z nieprzeładowaną bronią. On trzymał rękę z tyłu. Myśmy specjalnie go nie zatrzymywali, on przechodził. Potem się okazało, że to był Niemiec, chyba zastrzelił żołnierza radzieckiego, przebrał się częściowo i szedł, a z tyłu miał Parabellum. Wystarczyłby magazyn i to co było w lufie, żeby nas wszystkich wystrzelać. Potem Parabellum, które testowałem to właśnie było Niemca. Jego złapali milicjanci, nasi koledzy i broń nam przekazali.

Później to było tak, że ojczyma, ponieważ miał przygotowanie rolnicze i miał majątek przed wojną, poprosił po pierwsze pan Popowski, właściciel ogromnych majątków, a kolega ojczyma, żeby zgodził się być administratorem, bo tutaj chcą parcelować, chcą zabierać majątek. Ojczym się zgodził. Starosta mu to zaproponował, tylko że on patrzył przez palce, pomagał właścicielowi majątku. Ktoś doniósł, że właściciel wyjechał z wozami swoich różnych rzeczy, obrazów i zaczęła się wtedy obserwacja ojczyma. Koledzy z milicji dali znać, to już był maj, że dobra pora, żeby wiać, bo również zaczyna UB się mną interesować. Milicja o tym wiedziała. Koledzy z NSZ-tu, którzy byli w milicji, załatwili mi zaświadczenie, że wyjeżdżam z Jeżowa na Pomorze, żeby szukać rodziny, co oczywiście nie było prawdą. Chodziło o to, żeby wyjechać. Z ciekawych być może rzeczy to było to, że mój dowódca powiedział mi: „Prawdopodobnie już nie będziesz miał możliwości zetknięcia się z naszymi oddziałami, to pamiętaj, że masz postępować zawsze zgodnie z honorem, ażeby robić coś dla niepodległości Polski”. To był ostatni rozkaz, jaki dostałem.

Pojechałem do majątku ojczyma koło Gdańska. To była resztówka, dziewięćdziesiąt parę hektarów do stu. Tam miałem zespół Niemców, też ciekawa historia. Myśmy sobie marzyli, że jak przyjdzie koniec wojny, będziemy mogli się mścić na Niemcach, to tutaj będziemy sobie szaleć. Tam miałem Niemki, które przyjechały z Gdańska zresztą w strasznym stanie, bo Rosjanie robili straszne rzeczy z kobietami. One były też w dużej części chore. Zamiast mścić się na Niemkach, to mówiłem im tylko, co mają robić, a miałem przygotowanie, bo chodziłem w czasie wojny do Tilberów *für die Landwirtschaft*, do szkoły rolniczej, żeby mieć *Ausweis*. Wiedziałem, co trzeba robić w rolnictwie. Im dawałem robotę, a sam patrzyłem, czy nie jadą Rosjanie. Jak jechali, to uprzedzałem. W stodole była skrytka, one tam wchodziły, zakrywały się snopkami. To jest polska natura, że człowiek by chciał, tutaj opowiada, że będzie się mścił... Później jak przyjechał ojczym, zamknęło go oczywiście UB, tak że siedział trochę. Potem jak już dojechał, to poszedłem do szkoły. Do Warszawy nie było po co wracać, bo wszystko spłonęło. Pojechałem do Bydgoszczy. Tam było gimnazjum i liceum rolnicze, to kontynuowałem [naukę] tam. Akurat tak się składało, że nauczycielami byli wykładowcy z prywatnej szkoły rolniczej, do której chodziłem w czasie Powstania. Nie miałem świadectwa, wszystko spłonęło. Oni zaświadczyli i tam mnie już przyjęli. Musiałem pracować. Przy opuszczaniu oddziału NSZ-towskiego dostałem informacje, żeby się broń Boże nie

ujawniać, bo myśmy różne rozkazy wykonywali. Były kary nakładane na ludzi, którzy kolaborowali. Przecież aresztowali oficerów akowskich, to taki człowiek musiał dostać w czapę, w czółko. Nie było sensu się ujawniać, bo bym kiepsko skończył. W życiorysach nigdzie nie podawałem, że byłem w Armii Krajowej, już nie mówiąc o NSZ-cie. Byłem w konspiracji w cudzysłowie, nie przyznając się do tego do 1990 roku, dopiero później wstąpiłem. Znaczący koledzy poprosili, żebym wszedł do Związku Powstańców, ponieważ tam była spora grupa kolegów z 2. baterii. Ponieważ miałem przygotowanie organizacyjne, dryg, to zostałem tam przewodniczącym środowiska, jestem w prezydium Związku Powstańców, w zarządzie głównym, ale to już inna historia.

Natomiast później rozpocząłem studia na SGGW. Też miałem kłopoty, bo tam zapisali, że ojciec miał... Nie przyznawałem się, że miał majątki, tylko że był administratorem rolnym, bo coś trzeba było powiedzieć. Ojczym kułak, bo [miał] dziewięćdziesiąt hektarów. Ojczym nigdy w życiu mi nie pomógł. Musiałem ciężko pracować, żeby zarobić na studia. Zdałem z wynikiem bardzo dobrym, ale nie zostałem przyjęty z powodu braku miejsc, tak to się nazywa. Był przyzwoity profesor, który powiedział, że w Łodzi jeszcze są miejsca na uczelni, żebym wziął z dziekanatu dokumenty i pojechał. Wziąłem z dziekanatu dokumenty i pojechałem, tam były miejsca. Przeczytali dokumenty, mówią: „Niestety nie może pan studiować, bo nie ma już miejsc”. Oddali mi dokumenty. Jak jechałem do Warszawy, patrzę, a tam na jednej z opinii jest napisane, że podejrzany o udział w konspiracji, ojczym kułak. Nawet pisałem, że byłem w „Szarych Szeregach”, bo to nie było takie karalne, ale nie pisałem o AK ani o NSZ. To było podkreślone na czerwono. Po cichutku wyciągnąłem dokumencik i wszystkie inne oddałem z powrotem na uczelnię. Zaproponowano mi, żebym był wolnym słuchaczem, jeszcze wtedy była taka możliwość. Byłem wolnym słuchaczem przez jakiś czas. Przy pierwszej sesji egzaminacyjnej z dobrymi papierami sporo podpadało.

Na jakiej uczelni?

Na SGGW. Po jakimś czasie mnie przyjęli, już dostałem stypendium, uczyłem się. Wtedy było rozporządzenie, że nakazywały nakazy pracy, jak się kończyło. Ponieważ brakowało wtedy fachowców, rok 1953, to można było wybierać. Wybrałem sobie Instytut Ekonomii, bo już na uczelni się specjalizowałem, już w pracy się zajmowałem badaniami dotyczącymi porównawczych efektywności różnych technologii produkcji głównie, ale również koszty produkcji i te wszystkie historie. Zrobiłem magisterium na wydziale ekonomicznym, potem doktorat w 1964 roku, potem cały czas pracowałem w Instytucie Ekonomiki. Uważałem, że trzeba mieć marzenia, to jest bardzo ważne. [...]

Proszę powiedzieć o pana działalności w kontaktach z pilotami.

[...] Znałem świetnie angielski i koledzy ze Światowego Związku któregoś dnia w 1990 roku, powiedzieli mi: „Słuchaj, ty znasz angielski, mamy grupę pilotów, którzy przylatują na obchody”. Wtedy były pięćdziesiąte piąte obchody rocznicy Powstania Warszawskiego. „Może byś się nimi zajął”. Powiedziałem: With a great pleasure – z ogromną radością. Zaprowadził mnie na spotkanie. Oni byli chyba w Grand Hotelu. Schodzi właśnie, to był wing commander Gordon Prayer czyli dowódca pułku Royal Force ciężkich bombowców, tam jeszcze było trzech innych bardzo zasłużonych oficerów. Jak ich zobaczyłem, powiedziałem im, że marzyłem w czasie Powstania,

żeby przeżyć to wszystko, żeby uściskać pilotów, którzy dokonywali zrzutów. Okazało się, że oni przelatowali nad moimi pozycjami, widziałem, jak wlatują w smugi pocisków, a oni widzieli morze ognia, bo wszystko wokoło płonęło. Powiedziałem, że marzyłem, żeby uściskać im rękę. Bardzo to było serdeczne spotkanie, popłakało się towarzystwo, ja też. Zająłem się nimi, byli u mnie w domu, tak samo mieli marzenia. Oni mieli marzenia takie, że zawsze jak przyjeżdżali piloci, oni przyjeżdżali na uroczystości, to ich minister witał, dowódca polskich sił powietrznych, jednym słowem VIP-y, oni nie mieli bliskich kontaktów z „akowcami”, którym zrzucali broń. Wtedy właśnie zrobiłem dla nich spotkanie kolegami z „Gurta”, już poznali żołnierzy. Brytyjczycy powiedzieli: „Słuchaj, my słyszeliśmy, że tu są spotkania z prezydentem, my jesteśmy konserwatyści, ale jeśli byłaby możliwość...”. Zacząłem się starać i załatwiłem im spotkanie, jak było spotkanie z Powstańcami, to oni też tam weszli. Byli bardzo zadowoleni. Przekazali informacje na zasadzie, co ci z The friendship For Service jednym drugim przekazują.



Następnego roku już przyjechała duża grupa, też mam zdjęcia z nimi. W dużej grupie było już kilkudziesięciu pilotów, również żony pilotów, którzy zostali strąceni nad Warszawą. Zorganizowałem duże spotkanie w 10. pułku samochodowym z akowcami, ze środowiskiem, w którym jestem. Potem bezpośrednio przez wiele lat do tej pory mam kontakty bardzo serdeczne. Ich bardzo dużo odchodzi. Mam tu spisy. Oni utworzyli organizację „Warsaw 44 Club”. Zrobili mnie honorowym

członkiem, mam od nich różne plakietki. To jest klub pilotów, wyłącznie tych pilotów, którzy dokonywali zrzutów na Warszawę, nie że w ogóle na Polskę, na Jugosławię, bo były specjalne jednostki, które dokonywały zrzutów. Ogromnie serdeczne stosunki [są między nami]. Mówiłem, że Bejc, on jest teraz prezesem klubu „Warsaw 44”... Korespondujemy z sobą bardzo serdecznie, on chciał przyjechać. Zorganizowałem im poprzez łączność z Muzeum z panem Janem Ołdakowskim, z prezydentem Kaczyńskim... Tam powstała grupa, która im pomagała, potem oni przejęli pilotów i zajmowali się. Myślę, że jedną z piękniejszych rzeczy to jest to, że się z nimi przyjaźnię. Tam jest jeden Polak, on się nazywa Tadeusz Ruman, jest pułkownikiem eskadry 1580 ileś tam. On też był tutaj, też mam zaproszenie, w Blackpool mieszka. Bardzo serdeczne utrzymujemy stosunki. W Związku Powstańców ale nie tylko, zajmuję się, zajmowałem się, od lat kontaktami z zagranicą, jako że znam języki i to jest moje szczęście, że mogę tym ludziom się odwdzięczać. To są ludzie bardzo starzy i bardzo szybko odchodzą. Jeśli ja miałem lat siedemnaście, to oni byli już oficerami Royal Air Force i latali najcięższymi bombowcami. To już oficerowie, podoficerowie, oni są już pod dziewięćdziesiątkę. To jest coś, co się już kończy. Również moi koledzy bardzo szybko odchodzą, takie to są losy koleje.

Warszawa, 10 Marzec 2006
Rozmowę prowadziła Anna Kowalczyk

Źródło: <http://www.1944.pl/> Archiwum Historii Mówionej
Pozostałe zdjęcia i opracowanie: Lech Sierpiński

Zdjęcia „portretowe”: <http://ww2tvp.pl/>